Najpierw ciotka Joanna z Rogowskich Stankiewiczowa

Pewnego październikowego dnia w moim domu zamieszkały radość i szczęście. Zastanawiasz się, jak mogły wyglądać? Czy przypadkiem nie były ciepłym jesiennym słońcem po wielu deszczowych dniach? Albo znalezioną czterolistną koniczyną, a najlepiej dwiema naraz? A może były złotą rybką, która spełnia nie trzy, a trzydzieści życzeń? Te wszystkie wydarzenia z pewnością przynoszą radość, ale tracą na znaczeniu w porównaniu do tego szczęścia, które przynoszą ludzie. A ci zupełnie mali potrafią go przynosić najwięcej. Podpowiem Ci – moje szczęście i radość przybrały postać siostrzeńca, Stasia. Tego chłopca spotkała bardzo smutna historia – zmarła mu mama,

więc razem z mężem Kazimierzem postanowiliśmy go wychować, wykształcić i, jednym słowem, zadbać o niego jak najlepiej. Nie mieliśmy swoich dzieci, więc on jeden zebrał całą naszą miłość, lęk i troskę, którą obdarza się potomstwo, a my przy nim poczuliśmy się, jakbyśmy odmłodnieli o co najmniej kilkanaście lat. Razem z jego przybyciem nasz dom ożył, jakby zbudził się z bardzo długiego, zimowego snu.

W wolnym od szkoły czasie (wówczas były to środy) i w soboty zaraz po lekcjach, po południu Staś biegał pod sam Wawel, do pracowni rzeźbiarskiej swojego ojca. Uwielbiał odwiedzać go i obserwować przy pracy pośród rzeźb i modeli. Był niezwykle uroczym chłopcem, ale upartym jak osioł – nie chciał, by ktokolwiek go odprowadzał i przyprowadzał ze szkoły. Wynagradzał nam to zbieranymi po drodze polnymi kwiatami, których to bukiety wręczał ukochanemu wujusiowi. Staś uważał, że kwiaty potrafią mówić, a nawet są bardzo rozmowne, ale nie mam zielonego pojęcia, o czym on z nimi dyskutował. Chłopiec czytał mnó-

stwo książek, niekiedy z pamięci recytował ulubione strofy i, jak chyba każdy, uwielbiał opowiadane legendy i wymyślane historie. Nasza biblioteczka gromadziła poważne i znakomite dzieła, które wyszły spod piór uczonych, więc musiałam ją czasem zamykać na klucz, z obawy, że wątła osóbka Stasia nie wytrzyma tak wcześnie przyswojonego ogromu wiadomości. Wtedy obrażał się, że musi na nie patrzeć przez szybki i, wielce poważnie, groził ich wybiciem.

Stąd zawarliśmy układ – skoro tylko odrobił lekcje, mógł wyjąć jedną książkę z biblioteki do czytania i odrysowania obrazków. Zwykle przestrzegaliśmy zawartej umowy, chociaż to czytanie czasem przeciągało się do późnych nocnych godzin.

Mały Staś nie rozstawał się z ołówkiem, który nosił w kieszonce. Często rysował i odrysowywał albo też tworzył własne dzieła, po czym upracowany odkładał rysunki do swojej szufladki i padał zmęczony na kanapę. Nie chciał wówczas ani biegać z dziećmi, ani odwiedzać ze mną znajomych. Zmęczenie trwało u niego czasem kilka dni, ta pasja tak potrafiła osłabić tego małego chłopca. Potem jednak znów sięgał po swój ulubiony zeszyt i wracał do rysowania. Do dziś pamiętam jego ukochany szkicownik, w twardej oprawie z ciemnowiśniowym płótnem na grzbiecie. I te wszystkie ołówki, jedne długie – jeszcze nowiutkie, inne krótkie, wyrysowane niemal do samego końca. Jedyne spacery, o które sam się upominał, to te na Wawel. Razem odwiedzaliśmy pomniki, ołtarze i groby królów. Rozglądał się w zachwycie, bacznie wszytko obserwował i zadawał setki pytań, na które wspólnie szukaliśmy odpowiedzi.

Raz zażyczył sobie, by mu kupić opis Katedry na Wawelu. Kazimierz oczywiście się zgodził

– kochał go tak bardzo, że przystawał chyba na wszystko, co wymyśliła Stasiowa główka. Wiele razy się zastanawiałam, co kiedyś wyrośnie z tego chłopca?